



ZABYTKI PRZEDHISTORYCZNE W OKOLICACH OJCOWA i MIECHOWA. ¹⁾

Badania zabytków przeddziejowych siedzib i kultury pierwotnych tubylców Polski przedhistorycznej wogóle, a mianowicie też w ziemi kieleckiej, mnożą się coraz bardziej w ostatnich czasach.

Świeżo pp. Jan Czarnocki i Samsonowicz odkryli i częściowo opisali już w „Pamiętniku szkoły handlowej w Kielcach” kilkadziesiąt nieznanych dotąd siedlisk przedhistorycznych w powiecie kieleckim. Wielgorliwy młody badacz, p. Leon Kozłowski z

Przybysławic pod Miechowem, odkrył również kilkadziesiąt siedzib i grodzisk przeddziejowych w swoich stronach i zebrał z nich mnó-



STAWNA GÓRA POD MIECHOWEM

fol. S. J. Czarnowski.



stwo zabytków w dolinach rzek Śreniawy, Dłubni i Przemszy.

W okolicach Ojcowa i Pieskowej Skały, mianowicie w lecie, w czasie wakacji, młodzież przeważnie szkolna prowadzi także podobne poszukiwania, niestety jednak, zbyt dorywczo i nieumiejętnie, bez znajomości badań już dawniej tam dokonanych. Towarzystwo przyjaciół Ojcowa i zarząd zamku Pieskowej Skały, winnyby czuwać, aby znaleziska owych poszukiwań amatorskich nie były wywożone i rozprasane, lecz składane w muzeach zamczysk z odpowiednimi objaśnieniami.

Prowadząc przez długi czas systematyczne, ściśle naukowe poszukiwania zabytków przedhistorycznych w okolicach Miechowa i w jaskiniach Ojcowa, uważam za wielce pożyteczne i potrzebne dla dalszych badań na tem polu wskazać w krótkości, co tam dotychczas już zostało odkryte i opisane, a co jeszcze do zbadań zostaje.

W części I zbiorowego wydawnictwa moich prac p. n. „Polska przedhistoryczna”, w przeglądzie „Literatury przeddziewów Polski” na str. 86—88 w rozdziale „Bibliografia”, podałem tytuły dawniejszych moich sprawozdań, już ogłoszonych drukiem, dotyczących siedzib i zabytków przeddziewowych z okolic Miechowa i Ojcowa w ziemi kieleckiej. Tu wiadomości odnośnie przedstawię dokładniej i uzupełnię badaniami najnowszymi.

Co do okolic Miechowa ogłoszono drukiem tylko jedno moje sprawozdanie główne p. t. „Wykopaliska Miechowskie” w tomie X „Materiałów antropologiczno-archeologicznych” Akademii Umiejętności krakowskiej (wydane też w odbitce osobnej) z 9 tablicami rycin i mapą topograficzną okolic miasta. W sprawozdaniu tem opisana jest siedziba przeddziewowa, położona na wschód od Miechowa, w kotlinie źródeł Miechówki czyli tak zw. Stoku miejskiego przy szosie szkalbmierskiej. Na tablicy I pomienionego sprawozdania mieści się mapa archeologiczna-topograficzna okolic Miechowa. Na niej oznaczone są inne jeszcze siedziby przeddziewowe, zbadane przeze mnie, które tu poniżej wyszczególniam. Zabytki i wykopaliska tam zebrane mieszczą się w zbiorach moich w Miechowie, opatrzone odpowiednimi napisami. Wyjątek stanowią tylko wykopaliska opisane już w sprawozdaniu powyżej wymienionem, po-

chodzące z pól miejskich przy źródłach Miechówki, złożone w darze do muzeum przedhistorycznego Akademii Umiejętności w Krakowie.

Siedziby przeddziewowe na północ od m. Miechowa, odkryte przeze mnie, leżą wszystkie na lewym brzegu rzeczki Wielkiej, wpadającej do Śreniawy, a mianowicie:

Stawna góra, wielki pagór na północ rzeczki Miechówki, przy ujściu jej do rzeki Wielkiej, stanowi rodzaj stromego cypla w widłach pomienionych rzeczek, na północo-zachód od m. Miechowa w odległości około $\frac{1}{2}$ kilometra.

Wieś Siedliska, na lewym brzegu rzeczki Wielkiej, na północ od Miechowa, w odległości około 2 kilometrów; siedziba neolityczna na pagórze poza chałupami od strony północnej wioski.

Góra Kościelec, nieco dalej na północ za wsią Siedliskami, w odległości od niej przeszło 1 kilometr, na lewym brzegu rzeczki Wielkiej, tuż przy wodzie, w kształcie małego grodziska, o stokach spadzistych, ze śladami gliny przepalanej na kolor ceglasto-czerwony od strony pola na przykopie.

Wieś Pstroszycy dolne i górne, na wyniosłej górze Widnicy, na tymże lewym brzegu rzeczki Wielkiej, w pobliżu jej źródeł; na południowym stoku dosłonecznym góry Widnicy aż do granicy wsi Siedlisk na polach ornych liczne zabytki neolityczne, a także w pobliskim lesie na północ od wsi Pstroszyc w pobliżu szosy warszawskiej.

Folwark Józefów, nieco dalej na północ od Pstroszyc w odległości przeszło 2 kilometrów (za wsią Wolą Podleśną) wielka pracownia wyrobów z krzemienia, mnóstwo narzędzi, wiórów, odlupków i okrzesków, przeważnie z odmiany krzemienia białawo-popielej.

Wieś Strzeżów na północ od Miechowa, w odległości około 3 kilom. przy szosie warszawskiej; na stokach południowych Góry Strzeżowskiej w pobliżu dworu, folwarku i szosy (około krzyża drewnianego) nieco wyrobów krzemiennych neolitycznych.

Siedziby przeddziewowe na południe od Miechowa:

Szczepanowice, rozległa wieś nad rzeczką Pojałówką, dopływem Śreniawy, w od-



ległości 7 kilometrów od Miechowa przy szosie krakowskiej; siedziba neolityczna u stóp wielkiej Góry Szczepanowickiej o stokach spadzistych, naprzeciw 5 wiorsty na wschód od szosy, na polach włościanina Kierońskiego i sąsiednich na prawym brzegu Pojałówki, oraz na pagórze pobliskim na drugim lewym brzegu rzeki.

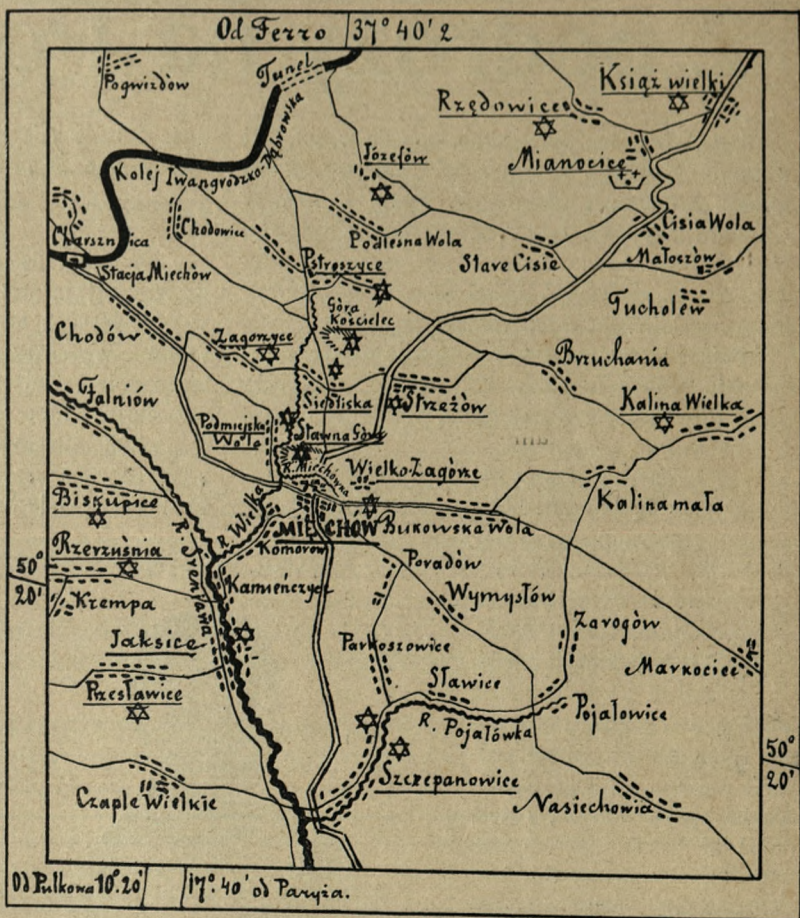
Jaksice, wieś nad rzeczką Wielką przy ujściu jej do Śreniawy, w odległości około 3 kil. od Miechowa; zabytki neolityczne na lewym brzegu Śreniawy w pobliżu dworu i kancelarii gminnej.

Słomniki, miasteczko na lewym brzegu Śreniawy na południe od Miechowa w odległości 14 kilom.; siedziba i cmentarzysko neolityczne na południo-wschód od miasteczka na polach Królczyka, przy drodze do wsi Niedźwiedź (plan sytuacyjny miejscowości podano w № 15 „Ziemi” z dn. 9 kwietnia 1910 r.).

Iwanowice, wieś na południo-zachód od Miechowa i Słomnik, w odległości od tych ostatnich około 7 kilometrów, od szosy krakowskiej 3 kilom. na zachód, na prawym brzegu rzeki Dłubni, przy ujściu do niej rzeczki Minożki; po obu brzegach tejże na górze Klin i przy dzisiejszym cmentarzu współczesnym wielkie siedziby i cmentarzyska z okresu kamienia, brązu i żelaza, niezmiernie obfite w zabytki wybornie zachowane oraz szczątki szkieletów i czaszek ludzkich.

Wszystkie siedziby przeddziejowe wymienione powyżej, jak widzieliśmy, leżą nad dopływami rzeki Śreniawy górnej lub nad nią samą, jak Słomniki, prócz Iwanowic, położonych nad Dłubnią i Minożką.

Drogą, wijącą się malowniczym brzegiem



Minożki, przez wieś Minogę i miasteczko Skale, przechodzimy ku zachodowi z obszaru utworów kredowych w skalisty obszar utworów jurskich, w uroczą dolinę rzeki Prądnika.

Stosunek topograficzny dolin rzek powyżej wymienionych i siedzib przeddziejowych nad nimi położonych wskazuje moja „Mapa archeologiczna porzeczka Wisły od Przemszy do Nidy”, dodana do artykułu „Miejscowości przedhistoryczne” (drukowanego w № 24 i 25 tygodnika „Wszechświat” z r. 1905). „Mapa topograficzna jaskiń doliny Prądnika i sąsiednich”, dołączona do mojej rozprawy „Jaskinie okolic Ojcowa” (drukowanej w tomie I warszawskiego rocznika archeologicznego „Światowit”), przedstawia położenie ważniejszych tamtejszych jaskiń, schronisk podskalnych i grodzisk.

(DN)

St. J. Czarnowski.





Z podróży na Pomorze. 5)

Drugą książką, jaka mi się dostała w ręce, był Śpiewnik Krowaja. Format jej mniejszy, napis opiewa: „*Duchowne piesnie D. Marcina Luthera y ynszych nabożnych mezow. Z niemieckiego w Sławiesky iezik wilozone. Przes Szymona Krofea sluge słowa Bożego w Bytowie. Drukowano w w Gdainsku przez Jacuba Rhode Roku Pańskiego 1586*”.

Książka zawiera na 138 stronicach 158 pieśni. Oto próbka ich języka:

„Reduje się dusza moja,
a zabacz notu twego
Bo Christus obrona twoja
Wola cię z świata tego
Z tey trudnoscy, żaloscy
mus jic do tey redoscy
ktore ucho niesłychało
I co na wieki tridne miało.

I to przecież język polski.

Dostałem jeszcze trzecią książkę i rękopis, tak zwany „Modlitewnik szmoldzenski”. Na początku jest kilka-naście białych kartek, potem napis niemiecki: „*Ewangelien und Gebete, kleine Spruche. Collectenbuch*”. Następnie niemiecka modlitwa na 9 kartkach, to samo dalej po polsku na 3½ kartkach i polska modlitwa z napisem: „*M ó d l m y się jeszcze dale tak o*”, poczem ukazują się znowu białe kartki, następnie niemieckie mowy pogrzebowe, wyjątki z biblii i ewangelii i rzecz pod napisem: „*Aus Buch Sirach*”, polskie tłumaczenie pieśni niemieckiej

„*Wenn mein Ständlein vorhanden ist*”, zaczynającej się słowy:

„Gdy ma godzina nastanie
Prowadz ty mnie Jezu Panie
Nie opusc mnie nędznego
Przy skonaniu duszyczkę mą
Ty ją samą racz prowadzycs.

Pieśń ta posiada 5 strof, poczem następują: druga pieśń polska, polska mowa pewnego pastora, liturgia pogrzebowa, modlitwa apostołska i w końcu niemiecka modlitwa wieczorna.

Wiecej książek polskich pomocnik pastorski znaleźć nie mógł lub raczej znaleźć nie chciał. Wiem, że oprócz kroniki kościelnej znajdują się tu jeszcze

dwie polskie księgi rękopiśmienne: polskie kazania i tak zwane „*P e r i k o p y*” z glosami dopisywacza.

III.

Na drugi dzień udałem się pieszo ze Szmoldzena do Wielkiej Gardny, położonej na południowy zachód w odległości 4 kilometrów nad jeziorem Gardeńskim. Wyborny gościniec wysadzony drzewami, łączy obie miejscowości ze sobą. Dzień był prześliczny, lubo skwarny. Droga wiję się kolisto w pewnej odległości od Rewekolu, u którego stóp z przeciwnej strony leży wieś Wielka Gardna. Po lewej stronie drogi wszędy piękny widok na za-

lesione spady góry, na prawo zaś ukazuje się szeroka pusta płaszczyna, sięgająca morza i Łebskiego jeziora. U jej końca widać błękitnawe przezroczyste wód, mgłą osłonięte, gdzie zapada nieboskłon, jakby tonący w falach morskich.

Spotykam po drodze miejscowego, jak sądzić mogę z jego powierzchowności, starszego człowieka. Korzystam ze sposobności, zbliżając się do niego. Był to stary chłop z Wielkiej Gardny, wracający ze Szmoldzena do domu. Zwał się Mateusz Rother. Zabrawszy ze sobą znajomość, idziemy razem i rozmawiamy, jużci po niemiecku. Wypytyuję się go o miejscowe stosunki, między innymi pytam się go, jak ludzie mówią u siebie w domu w Wielkiej Gardny.

— *Plutt* — odpowiada.

— A po kaszubsku nie umięją.

— Jak gdzie i jak którzy. Starsi ludzie i rybacy mówią po kaszubsku.

— A pan umie po kaszubsku?

Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, a potem odparł:

— Nie.

Po chwili namysłu dodał jednak:

— Rozumiem tylko trochę.

Pytam się go:

— Jak się zowie Pan Bóg po kaszubsku?

— *Pon Bög*.

— A jak się zowie *kircha* (kościół)?

Namysłał się, potem rzekł:

TYPY LUDOWE.



DZIEWCZYNA Z POW. LUBELSKIEGO
fot. I. Dzierżyński.



— Nie wiem. Zapomniałem już. Dawno od tego czasu, kiedy u nas mówiono jeszcze po słowińsku. Byłem wtedy jeszcze chłopakiem, a dziś mam już przeszło 58 lat.

— Powiedz mi pan choć kilka wyrazów słowińskich, pierwsze lepsze, jakie panu tylko przyjdą na myśl.

Począł przypominać sobie, po chwili odezwał się:

— *Pünjedzauk* — Montag, *düma* — zu Hause, *wüölä* — Ochsen, *wögard* — Garten, *pöstork* — Strang, *jo nie chcqn* — ich will nicht, *bröda* — Bart, *wiehc* — Strohwisch, *wön gäde* — er spricht.

Na tem przestał, dodając:

— Więcej nie mogę sobie tymczasem przypomnieć. Słabą mam pamięć. Teraz u nas wszystko po niemiecku: w kościele, w urzędzie i w szkole, a ludzie mówią między sobą „*pommerisch*” (miejscowe niemieckie narzecze).

Następnie rzekł:

— Pan będzie zapewne wiedział, co to jest, iż obcy panowie zjeżdżają teraz do nas i szperają usilnie o starą gwarę słowińską. Był u nas jeden pan aż z Petersburga, drugi gdzieś z pod Warszawy.

— Gwara ta — odpowiedziałem — niestety, obumiera, więc jej miłośnicy chcą przynajmniej utrzymać jej pamięć w pismach.

— Podobnie mówił nam p. Lorentz. Ten był z Meklenburga. Spisywał on z naszymi starymi ludźmi długie protokoły wendyjskie, szczególnie z moim sąsiadem Michałem Botkem, który najwięcej umie po słowińsku we wsi naszej.

Stanęliśmy w Wielkiej Gardny. Wieś duża, domy piękne, murowane. Widać tu, podobnie jak w Górnem Szmöldzenie, dobrobyt ludu. Wstąpiłem z moim przygodnym towarzyszem do gospody, zapraszając go na wino. Przy szklance wina rozwiązały mu się więcej usta, stał się mowniejszy.

— Czy to prawda — mówił — że wendów jest wielka siła na świecie, że są wielkie miasta wendyjskie, i że nie tylko szlachta, duchowieństwo i urzędnicy, lecz nawet koronowane głowy uznają gwarę wendyjską za swoją i rozmawiają też między sobą po wendyjsku.

Dałem mu pod tym względem wyjaśnienia.

— Pan powiada, że wendowie a słowianie, to wszystko jedno, więc my słowińcy także słowianie. Jeśli zaś jest nas taka siła, to nie mamy właściwie czego ani wstydzić się, ani też bać się. Słyszałem od jednego obcego pana, który u nas bawił i robił poszukiwania słowińskie, że wendowie, albo jak pan mówi słowianie, nie tylko byli tu wszędzie, lecz że sięgali daleko nawet poza Łabą, że mieli swoich własnych królów i książąt. Lecz teraz inne czasy, teraz panują Niemcy, a wszystko, co wendyjskie, jest u nich w pogardzie i poniewierce.

Po małym przestanku ciągnął dalej.

— U pastorów naszych wszystko co wendyjskie w pogardzie. Pastor w Szmöldzenie mówił raz na kazaniu ludziom, że grzech myśleć o naszym wendyjskim pochodzeniu, skoro Bóg widocznie łaskaw na Niemców, dając im dobrobyt i potęgę. Ale ja nie myślę, żeby to był grzech, bo, jeżeli tu wszędzie byli wendowie, było to także zrzędzeniem boskiem.

Do naszej rozmowy wtrąciła się obsługująca nas właścicielka gospody, wtrącając swoje trzy grosze.

— Co do mnie — mówiła — to ja nienawidzę słowińskiej mowy. Jest to szkaradna nieokrzesana mowa, którą dziś wzdarda już każdy lepszy rybak łebski. Nie rozumiem tylko, jakim sposobem mogą się tym grubym i prostaczym narodem interesować ludzie wyższego wykształcenia. Lecz zdaje się, iż taka dziś nastała moda dziwaczna. Robią z tego istny sport. W zeszłym roku było u nas aż dwóch takich sportsmenów, jeden z Petersburga profesor Mikkola, drugi z Meklenburga, dr. Lorentz, którzy zbierali okruszyny słowińskie na wyścigi. Dr. Lorentz mieszkał przez trzy miesiące w mojej gospodzie. Bardzo godny i zacny pan, a przytem wielce uczony. Jednak nie mogę mu dać wiary co do tego, żeby wielki książę meklenburski miał go swoim kosztem wysłać w nasze strony dla studyów słowińskich.

— Nic dziwnego — wtrąciłem, przerywając gospodyni — wszak wielki książę meklenburski, rezydujący w Rostoku, sam jest pochodzenia słowińskiego czyli wendyjskiego.

— Co pan też mówi! — zawołała niemal z oburzeniem. — Gdzieżby to mogło być.

— A przecież tak jest. Są na to niezbite dowody historyczne.

— Gdybym była wielkim księciem meklenburskim, uważałabym coś podobnego za obrazę swego majestatu.

Mateusz Rother uśmiechnął się na to i szepnął mi do ucha:

— Bóg wie, co robi, i dlatego nie dał rogów pewnemu zwierzęciu.

Badała mnie, w jakim celu ja przybyłem w te strony. Odpowiedziałem, że podróżuję po świecie dla swojej przyjemności.

W Wielkiej Gardnie kościół jeszcze ładniejszy, niż w Szmöldzenie, chociaż wieś ta mniejsza co do ludności, niż ostatnia, posiadając 1200 dusz. Jest to atoli bardzo stara miejscowość, sięgająca swą przeszłością w prastare pogańskie czasy słowińskie. Już sama nazwa jej wskazuje, że w prawniku był tu gród czyli *gard*. Kościół miejscowy jest fundacyi księża wschodnio-pomorskiego, Mestwina I, który go założył w r. 1282 pod wokacyą św. Stanisława. Szczególnego uroku dodaje wsi jeziorno Gardeńskie, dość duże i piękne, które jako obfitujące



TYPY LUDOWE.



PASTUSZKOWIE Z POD PREN, POW. MARYAMPOLSKI fot. L. Ostaszewski.

w ryby, łączy miłe i przyjemne z pożytecznem. Bogactwo rybne jeziora stanowi bowiem podwalinę dobrobytu mieszkańców, który tu widać na każdym kroku. Również i w tutejszem archiwum kościelnem znajdują się księgi i rękopisy kaszubskie. Są one jednak z powodu niemieckiej zjadłości miejscowego pastora nie dostępne. Tutejszych skarbów piśmiennych nikt z badaczy kaszubszczyzny nie widział, a dlatego należałoby za wszelką cenę zdobyć tę fortecę niemieckiego nieprzejednania w Wielkiej Gardnie. Sądzę, że w tych stronach możnaby po archiwach kościelnych odkryć nie jeden skarb piśmienictwa słowińskiego. Wartoby zatem podjąć nawet największe trudy w tym kierunku.

IV.

Idę piechotą ze Szmółdzena, gdzie rozbiłem swe namioty, do Kluk. Przedemną 8 kilometrów drogi, którą dobrym gościńcem przebyć można w półtorej godziny bez wszelkiego natężenia, lecz tu wśród dyabelskich piasków trzeba na to dwa razy tyle czasu i nie małego też trudu, zwłaszcza w skwarny dzień lipcowy. Skąpany w pocie, od stóp do głowy zaprószony albo raczej *zapiaszczony*, docieram w południe do *Szmółdzeńskich Kluk* (Schmolsiner Klucken), szczęśliwy, że tu znalazł gospodę, gdzie mogłem się schronić przed palącą tarczą słońca i posilić się jako tako.

Droga, gdyby nie straszliwe piaski, byłaby nawet przyjemna. Krajobraz wokoło osobliwy w swoim rodzaju, pełen znamiennej cechy i odrębności, o kolorycie nastrojowym. Od zachodu piętrzy się Rewekol ze Szmółdzenem u swych stóp, w południowym kierunku uderza wzrok miła zieleń rozległych lasów, na północnym zachodzie sterczy

latarnia morska, a przed nią rozpościera się ciemno-modre przezrocze jeziora, na którym jakby łabędzie kołyszą się porzucane łodzie. Kluki, główne ognisko kaszubskich niedobitków tej okolicy, są także osobliwym siedliskiem ludzkim. Leżą one bowiem pół metra zaledwo wyniesione ponad powierzchnię jeziora Łebskiego w środku bagien nadlebskich, od brzegu zaś jeziora mniej więcej o wiorstę odległe. Składają się z trzech części oddzielnych: *Szmółdzeńskich*, *Żeleżeńskich* (Selesener) i *Ciemieńskich* (Zemminer) Kluk (Klucken), które jednak nie należą nawet do jednej parafii i są od siebie nieco oddalone. Każda z Kluk jest osadą sama w sobie o kilkunastu domach, a połączone ze sobą tylko ścieżkami, gdyż droga ze Szmółdzena dochodzi tylko do Szmółdzeń-

skich Kluk, do tamtych zaś można dojść tylko ścieżkami, a dojechać nie można. Od świata oddzielają te osady jezioro, bagna i piaski, od północy zaś morze. Nieprzystępności i pustynności piaszczystej zawdzięcza ludność tego zakątka utrzymanie swej pierwotności narodowej. Już bowiem Szmółdzeńskie Kluki połączone wozową drogą ze Szmółdzenem, posiadające szkołę, pocztę i niemca na gospodarze, są podniemczone. Uboga ludność tego ustronia żyje głównie z rybołówstwa. W istocie rzeczy nędzne tu wiodą życie. W najsuchszej nawet porze roku pełno wilgoci po domach. W zimie, przy złej pogodzie Kluki zupełnie odcięte są od świata. Przy większych deszczach woda zalewa domy, a mieszkańcy chronią się, gdzie tylko mogą. Gdy się zerwą silniejsze wiatry i poruszają piasek, zasypuje on, jak śnieg, wszystko w okół. W lecie jednak pięknie tu: chałupnicy wyjeżdżają łodziami na jezioro, inni uprawiają z zamilowaniem jałową rolę. Mieszkańcy ustronnych tych osad są jednak nieco obcy w świecie: jedni opływali morzem łądy, drudzy widzieli kawałek świata, służąc w wojsku, są też tacy, którzy szukali szczęścia w Ameryce, lecz wszyscy popowracali do swej rodzinnej wioski, bo swojska ziemia posiada dla nich największą siłę przyciągającą i urok, szczególnie Kluki, górujące w wyobraźni swych mieszkańców nad wszystkimi osadami w okolicy. Kluczanie mówią: w Głowczcach i Izbicach wśród ciasno zapchanych domów nie można oddychać, ani też nic widzieć: w Klukach, gdy człowiek ze wschodem słońca wyjdzie z chaty, widzi przez jezioro daleko a daleko piękny świat boży. Nad Kluki niema innej osady. Kluczanie są wzrostu wysokiego, silni, zdrowi, wytrwali, a białki ich urodziwe, robocze i zapobiegliwe. Mężczyźni prawie wszyscy służą w wojsku — pomorscy grenadierowie słyną w armii niemieckiej. Białki



pracują, jak juczne zwierzęta, nosząc ciężkie „karyny” i kosze z rybami kilkanaście kilometrów drogi do Głowczec, a nawet do Słupska na sprzedaż; są wogóle w pracy bardzo gorliwe a wytrwale zapobiegliwe w gospodarstwie. W niedzielę wyruszają zawsze wszyscy do kościoła. Tylko bardzo starzy i chorzy pozostają w domu, czytając postyllę i śpiewnik. Kluczanom najmilsze są książki polskie. Przygwarze kaszubskiej obstarują z podziwienia godną zapamiętałością, a nawet gdy mówią po niemiecku, używają wciąż wyrazów kaszubskich, szczególnie mówiąc o ptactwie, zwierzętach domowych i wśwystkiem, co się stosuje do pożywienia, gospodarstwa rolnego i domowego, jako też rybołówstwa. Pozdrwiają także tylko po kaszubsku. Wszystkie 3 Kluki mają razem mało co więcej nad 600 mieszkańców, których większa połowa są „sztajnkaszi”, chociaż i inni, nawet osiadłe tu rodziny niemieckie, używają narzecza kaszubskiego, które jest potoczną gwarą miejscowości. Obcych osiedleńców, którzy im są bardzo niepożądani, jest tu mało. Strzegą się przed nimi, więc udzielają im w sprawach gminnych ograniczonych tylko praw.

Oto sielanka kaszubska z Kluk.¹⁾

Z uderzeniem już godziny 3 z rana krzątają się parobcy i starsi. Śniadają. Kawa cykoryowa i suchy chleb lub pieczywo z ziemniaków. Potem biorą „liszkę” i skrzynkę z wórami, do której wkładają drugie śniadanie i butelkę wódki, i udają się z sieciami do łodzi, znajdujących się w Żarnowskim i Izbicach przy jeziorze. Następnie razem puszczają się na wody. Dawniej łowili ryby „ceza”,

będącą istną pułapką, ale obecnie jest ona zakazana. Najwięcej w użyciu jest teraz „brodzeszka” i „wjidnik”. Te sieci nie mają zdradzieckich gardzielów. Tymczasem świeci już słońko jasno, perląc rosę na roślinności. Białki i dziewczęta także zaprzątnięte pracą. We wsi panuje ruch i życie. O godzinie 4 z rana odzywa się przeciągłe, głuchawe brzęczenie blaszanej trąby, długiej łokieć a szerokiej piętnaście centymetrów. To pasterz gminny daje znać o sobie przed każdą zagrodą. Wychodzą też ze wszystkich stron krowy, kozy i owce, które pasterz zbiera i potem tłumnie goni na pastwisko gminne. Każdy z mieszkanców pasie tu pewną oznaczoną liczbę bydła za darmo; kto go posiada więcej, płaci za nadliczbowe. Niezbyt długo potem poczyną się ruch w karczmie. Pierwszymi odbiorcami wódki są ludzie, którzy dopiero po południu wyjeżdżają na jezioro; ta i owa białka, chcąc sobie użyć w domu, wymienia tu pokryjomu świeżo zniesione jaja na wódkę. Tymczasem dzieci wychodzą na borówki. Po domach przygotowują białki wszystko, czego potrzeba w gospodarstwie. Nie trwa to zbyt długo, a już łódź z rybami wraca na Pustyniec²⁾ do mostu. Zdobyć rozdziela się na oko między uczestników pracy rybaczej. Dzieje się to tak, iż jeden z rybaków obraca się tyłem do łodzi i odpowiada na pytanie wybranego wodza: komu to?, wymieniając nazwisko mającego otrzymać dział, poczem wódz daje mu przypadły na niego dział. Niewiasty i dziewczęta stoją z „karynamy” w gotowości.

(CDN)

G. Smólski.

¹⁾ Pg. opowiadania Tetznera; sam bowiem ba-
wiłem w Klukach zbyt krótko, by wszechstronnie po-
znać życie miejscowe.

²⁾ Rzeczka, przepływająca Kluki i wpadająca
do jeziora Łebskiego.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.

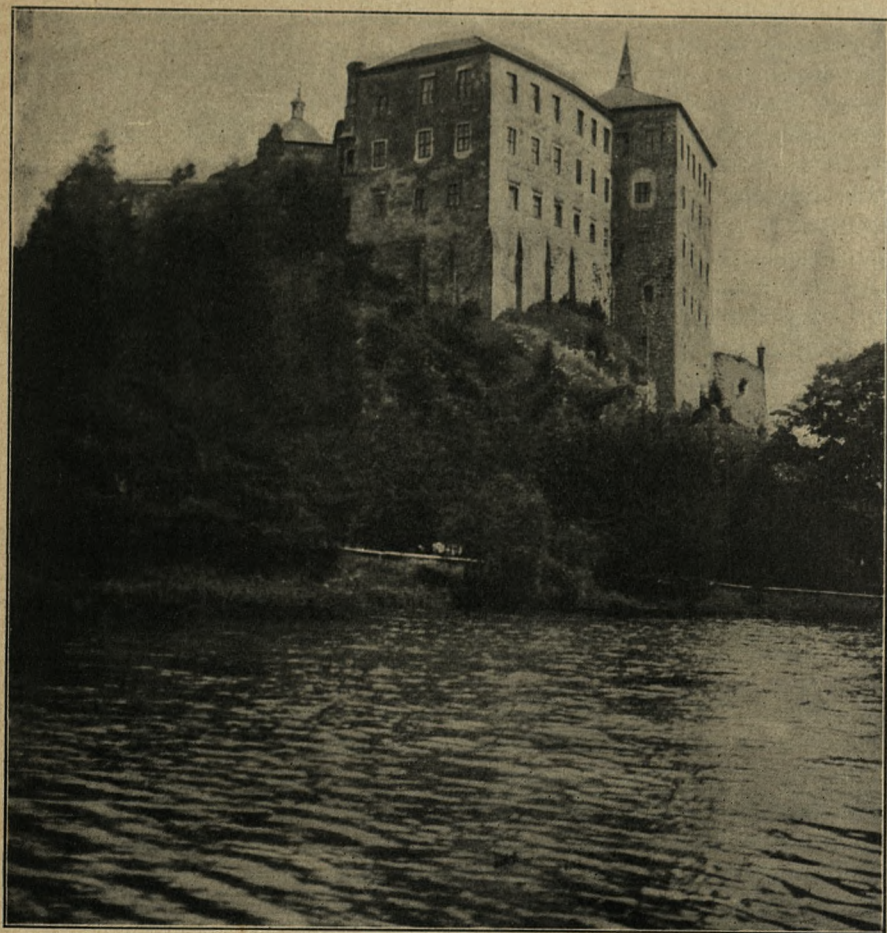
34. Zamek w Pieskowej Skale.

Nadawano także tej miejscowości nazwę Psiej skały — Saxum Caniculi — a dziś uciera się nazwa Pieskowej Skąły. Pierwotnie miało być Peskenstein.

Lud okoliczny opowiada o tutejszym zamku, że go stawiano bardzo a bardzo dawno i przy świetle, ponieważ jeszcze wtedy dnia nie było. Po-
dług takiego opowiadania, pan zamku miał swoje

wojsko, robił z niem wycieczki, rabował, zwoził różne rzeczy. I zrobił skórzany most do lasu, a w lesie kazał wykopać piwnicę, w której zakopany skarb oddał złemu (Porówn. Monografię etnogr. „Krakowiacy” St. Ciszewski).

Jest w Pieskowej Skale pod zamkiem skała, zwana Sokolicą albo Sokolą, do której odnosi się podanie, mające związek z zamkiem: razu jednego wtrącono do lochów zamkowych więźnia,



ZAMEK W PIESKOWEJ SKALE OD ZACHODU

fol. M. Wiśniewski,

którego przyobiecano nagrodzić wolnością, jeśli się wdrze na Sokolą Skalę i przyniesie pisklę z gniazda sokołów. Gdy ów wiezień rozmyślał, jak ma wykonać trudne przedsięwzięcie, naraz sen go ogarnął. Podczas snu tego sokoły, rodzice gniazda, wzięły go na swe skrzydła i uniosły na szczyt skały. Zbudzony, zabiera z gniazda jedno sokole pisklę, a stare sokoły znowu go na dół znoszą. I tak, dzięki wspianiałomyślnym ptakom, wiezień odzyskał wolność.

Byli tacy, którym się podobało nazwę Pieskowej Skali wywodzić od tego, że tylko pieszo dostać się tam można. Pierwsza wzmianka o tym zamku opiewa pod r. 1377, że go nadano Piotrowi Szafrąncowi z Łuczyc prawem dziedzicznym. Obecny zamek jest dziełem, dokonaniem przez Stanisława Szafrąnców około 1582 r. Ostatni zaś z głownego rodu Szafrąnców, Jędrzej, „serdeczny junak”, zmarł bezpotomnie w „błędach kalwińskich” 1608 r. Trzeba wiedzieć, że Szafrąnczy żarliwie popierali „nowinki genewskie”. Później cała majętność przeszła w ręce pokrewnych z Szafrąncami Wielopolskich.

Od Wielopolskich nabył Pieskową Skalę Jan Mieroszewski i w rękach tej rodziny zamek dotąd pozostaje: „Quantum mutatus ab illo”!) Pożar w roku 1851 sprawił tu zupełne zniszczenie w samym gmachu i w nagromadzonych zabytkach sztuki. Przedostatni właściciel jął się skwapliwie odbudowy, nie dokonał jej jednak w całości. Mimo to zamek na Pieskowej Skale i tak jeszcze wspaniale się przedstawia, nie jest ruiną.

Zbudowany w nieforemny czworobok na szczycie skały, dostępnej z jednej tylko strony, zamek ten dwupiętrowy posiadał przedtem szczupły dziedziniec, a w nim studnię nadzwyczajnej głębokości. Wewnątrz dziedzina są jeszcze widoczne piękne kru-

ganki. Oprócz tego dotąd pozostałe i obmurowane oficyny twoczyły drugi dziedziniec, skąd się przechodziło do właściwego zamku; ta część była znacznie późniejsza. Dawny gmach dzielił się na stary i nowy zamek: pierwszy posiadał sto pokoiów, krużganki i lochy podziemne, drugi sześćdziesiąt pokoi i kaplicę zamkową.

Zabytki sztuki, w małej ilości ocalone po ostatniej pogorzeli, mieszczą się obecnie w odnowionych przez przedostatniego dziedzica komnatach. Osobliwość stanowi tu jeszcze loch, zwany Dorotką, znajdujący się pod szczątkami wieży zamkowej, gdzie więziono i karano winowajców. „Jak kto co zasłużył, to go wrzucali tamok.”

Prawie u stóp zamkowej góry płynie Prądnik, omywając swą wodą i Sokolą Skalę, grubszą u góry a cieńszą u dołu, coś w rodzaju maczugi. Ten kształt skały poddał komuś myśl, aby piękną nazwę „Sokola Skala” zmienić na inną — „Palka

¹ Od lat kilku zamek jest — jak wiadomo — własnością tow. akcyjnego, które w nim urządziło letnisko. (P. red.).

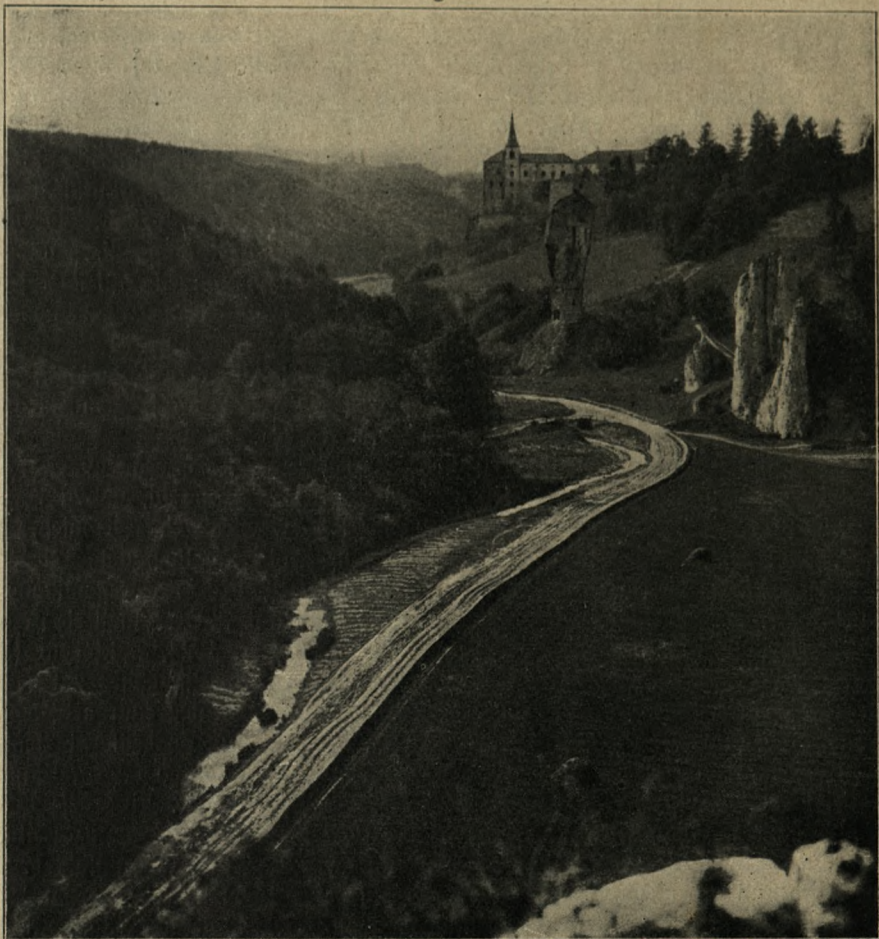


Herkulesa". I Naokoło tego potężnego zamku rozciągały się i szumiały jeszcze piękne lasy, ozdoba gór i skał; dzisiaj zrobiono wszystko, co się dało, aby drzewo zamienić na pieniądz. Do takich to marnotrawców lasu stosowało się wypowiedziane raz przy mnie zdanie sędziwego starca, młynarza z Ojcowa: „Bodaj im drzewa na trumnę zabrakło!” Przy zamku na Pieskowej Skale znajduje się piękny, chociaż niezbyt rozległy park, ulubiony cel wycieczek gości, latem przebywających w Ojcowie.

I Pieskowa Skała ma swoje skały, ale po większej części mają one charakter odmienny w porównaniu z ojcowskimi: braknie im tutaj tych wspaniałych girland lasów, które powszedy przyozdabiają Ojcow.

Ku północo-zachodowi od Pieskowej Skały leży Sułoszowa, na zachód — Przegonia, ku południowi — Grodzisko, a na wschód — Sobiesęki i miasteczko Skała.

Owo Grodzisko nosi także nazwę pustelni świętej Salomei, a jest poniekąd ruiną starożytnego warownego grodu. W XIII bowiem wieku zbudowano zamek na tem z natury niedostępnem



fol. M. Wisznicki

PIESKOWA SKAŁA SOKOLA OD POŁUDNIA (ze skał Wernyhory).

miejsu, ale jakoś wkrótce potem warownię zmieniono na klasztor klarysek, z osady zaś przy grodzie powstało dzisiejsze miasteczko Skała. W Grodzisku zasługują na uwagę posągi kamienne przed kościołkiem, a przed d mkiem, w którym niegdyś przebywał pustelnik, obelisk z jednej sztuki granitu, mający za podstawę słonia, także z jednego kamienia wyciosanego.

Adolf Dygasiński.



Z przeszłości Nałęczowa. 2)

Dobra te obejmują samą tylko Bochoćnicę; następnie wchodzi w ich skład sąsiednia wieś Cynków, co widać z aktu rozgraniczenia majątności p. Mikołaja Samborzewskiego: „in Bochoćnica et Cyn-

ków Haeredit”, od sąsiednich Strzelec (zr.1543). Ciż Samborzewscy w końcu tegoż stulecia powiększają majątność swą nabytkiem części Strzelec, będących dotąd w częściowem posiadaniu kilku



rodzin (w r. 1591 i 1596), przeważnie gniazdowej jeszcze szlachty, Strzeleckich,—podobnie, jak siedzą jeszcze Szadurscy w Szadurkach v. Sadurkach, Czasławscy w Czasławicach—wioskach, które później z biegiem czasu, również do dóbr bochootnickich wcielone zostały. W połowie następnego XVII stulecia, w tych trzech wioskach było jeszcze po kilka majątków, należących do różnych dziedziców, niekiedy dziedziczących je po kądzieli, skąd i nazwiska właścicieli ulegały zmianie.

W papierach miejscowych znaleźliśmy wzmiankę, że w r. 1617 nastąpiło „divisio inter Sambo-rzewskie, et approbatio eiusdum;” do tego więc czasu dobra bochootnickie posiadali Samborzewscy. W r. 1628 jest właścicielem tych dóbr Marcin Leśniowski¹⁾. Od Leśniowskich dobra bochootnickie przechodzą do Roztworowskich. Pod rokiem 1641 zapisany jest „contractus nuptialis inter Leśniowski et Roztworowski”, — tegoż roku przez „oboja małżonków—JM. Pana Roztworowskiego i Anną Leśniowską, żonę jego, roborowany”. W r. 1648 właścicielem Bochootnicy jest p. Wawrzyniec Roztworowski, chorąży kaliski²⁾, który posiada nadto $\frac{1}{3}$ część wsi Szadurek, $\frac{2}{3}$ Kruszcowa i jedną część drobnoszlachecką (około $\frac{1}{15}$) Czasławic.

Ze spisu dokumentów, tyjących się tych dóbr, widać, że JMPaństwo Roztworowsy narażeni byli na nieustanne procesy, wynikające z obdłużenia majątku. Było to naturalnem i powszechnem zjawiskiem w kraju w onej epoce. Kraj zniszczony przez wojny szwedzkie, zrabowany, spalony,—ludność nie zdziesiątkowana, ale zmniejszona do połowy³⁾, lub gorzej jeszcze, częścią skutkiem ciężkich warunków życia, z którem ukrywano się po lasach, częścią głodu, a w końcu i morowej zarazy,—ubytek rąk do pracy, oderwanie najdzielniejszej części społeczeństwa od pracy produkcyjnej, odbiły się niesłychanie ciężko na dobrobycie kraju.

¹⁾ Wykaz opłaty „Contributio Sanaria” z r. 1628, księga w rękopisie, będąca własnością prywatną.

²⁾ Lustracja poborów z r. 1648, również w rękopisie, własność prywatna.

³⁾ Jak widać ze spisu urodzeń w sąsiedniej parafii wąwolnickiej, gdzie księgi zachowano od r. 1590, liczba urodzeń przeciętnie przez lat kilkadziesiąt wynosząca około 120, spadła po wojnie szwedzkiej do 48 rocznie—i powraca zwolna do dawnej normy dopiero pod koniec wieku następnego, XVIII. Niedalekie miasto Kazimierz, mające trzysta kilkadziesiąt domów zamieszkałych w pierwszej połowie XVII stulecia, po wojnie szwedzkiej ma ich zamieszkałych zaledwie trzydzieści kilka.

Zamożność szlachty, polegająca na darmowej robociźnie poddanych, zaważowana tem samem obfitością tej robocizny, upadła. Potrzeby wojenne pomimo to, nietylko nie ustawały ale wymagały coraz nowych ofiar, które rycerstwo z własnej ponosiło kieszeni,—nie licząc ofiar w ludziach. Skutkiem braku siły roboczej pola leżały odłogiem, dochody majątkowe upadły. Ubożeli zamożni, chudopachołkowie doszli do ruiny. Sprzedawali też jedni po drugich drobne swe dziedzictwa zamożniejszym sąsiadom, którzy tym sposobem w każdej niemal wsi szlacheckiej mieli swe posiadłości, wywierając na sąsiadów wpływ swój, a niekiedy ciążąc im swem sąsiedztwem.

Roztworowsy, w stosunku do okolicznej szlachty—możni, nabyli również części szlacheckie w wioskach sąsiednich,—ale przy ogólnej biedzie nie mogli podoląć ciężarom. Szczególniej po r. 1660 często wspomniane są przeciwko nim dekrety. Utrzymali się przecież przy własności dóbr do r. 1724, w którym JMPan Jan Victorya Roztworowski, chorąży i sędzia czerski „dobra swe Bochootnice cum att.” sprzedaje JMPanu Gałęzowskiemu, podsędkowi ziemskiemu lubelskiemu.

Z czasu tej sprzedaży pozostał „Summaryusz papierów... które się oddały WJMcI Panu Gałęzowskiemu... ad necessitatem onego... spisany Die 21 9-bris w Lublinie 1724-to anno”.

Nabywca Bochootnicy był zarazem starostą wąwolnickim. Starostwo to, oddzielone od dóbr bochootnickich wązką tylko rzeczułką, mające łąki i pola tuż pod dworem bochootnickim, było dla właścicieli dóbr tych bardzo pożądane; starali się też utrzymać je w rodzinie dziedzicznie wraz z majątkiem. Trzymał je zarówno pan podsędek jak i jego sukcesorowie. W czasie tym upamiętnił się on częstymi sporami z proboszczami wąwolnickimi, zarówno z powodu odmawiania im dziesięciny, należnej z Kębła (dobra starostwa wąwolnickiego), jak sporami o zabrane probostwu grunty, rąbanie parkanów, okalających place kościelne i t. p. Uciskani przezeń mieszczanie musieli uciekać się aż pod opiekę króla (1726), który zaopatruje ich w listy żelazne, upominające starostę, aby ich nie krzywdził i nie uciskał, „gdyż król chce widzieć miasto wolne i szczęśliwe”.

Jak długo żył JMPan Gałęzowski, dokumenty miejscowe nie zaznaczają. Natomiast znajdujemy dokument z r. 1737, którym „JWIMPani Maryanna Gałęzowska, kasztelanowa Lubelska”—dobra bochootnickie oraz starostwo wąwolnickie według kontraktu oryginalnego, w Lublinie dnia 24 Junii praesentis 1737 spisane, w aktualną posesję trzyletną JWIMPaństwu Rostkowskiemu,



Wiskitskim, Wąsowskim, Tyszowieckim etc. starostwu, małżonkom, officiose wypuszcza”.

Dołączony do kontraktu „Inwentarz Dóbr nazwanych Bochoćnica kościelna cum attinentiis: To jest wioskami: Cynków, Chruszczowy Strzelce mianowanemi, Ziemiemi, Tudzież starostwa Wąwolnickiego ibidem cum attinentiis JWJeyMcPani Maryanny Gałęzowskiej, Kasztelanowej Lubelskiej Prawom podległych”, — pozwala nam przyjrzeć się bliżej stanowi ówczesnemu dóbr, a zarazem gospodarstwu krajowemu z przed lat stu sześćdziesięciu.

Otóż, jak z inwentarza tego widzimy, w skład ówczesnych dóbr bochoćnickich wchodzić wsie, które przed laty kilkudziesięciu były w ręku 10 jeszcze różnych właścicieli, a nadto i starostwo wąwolnickie. Jest to już kompleks dóbr znacznej rozległości, i przechodzi miarę przeciętnego gospodarstwa szlacheckiego.

Inwentarz podaje „Zasiewy ozime y jare na obudwuch Folwarkach, Kębelskim w Starostwie y Bochoćnickim” w jednej cyfrze ogólnej. Postaramy się przecież przy pomocy pewnych danych wynaleźć dla każdego folwarku odpowiedni stosunek tych zasiewów.

Pomocą nie małą będzie tu „Specyfikacya Poddania Bochoćnickiego y powinności Ych”. Według niej wsie wymienione poniżej wykazane są, jak następuje:

Bochoćnica poddan.	15,	dni piesz.	45,	kon.	16,	woł.	28
Cynków	„	6,	„	20,	„	9,	„ 14
Strzelce	„	6,	„	15,	„	2,	„ 4
Kruszców	„	17,	„	35,	„	8,	„ 18

Razem 44, „ 115, „ 35, „ 64
nie licząc pomocy przy sprzecie siana, przy żniwie, stróży i t. p. Z wykazu tego widzimy, że siła robocza sprzężajna wynosiła 99 dni w tygodniu.

Według „specyfikacyi pańszczyzny starostwa

Wąwolnickiego” ilość dni sprzężajnych wynosi tam 59; ale jest tam nadto kilkunastu poddanych, odrabiających pańszczyznę wyłącznie pieszo; redukując ją do dni sprzężaju, można 27 dni pieszych przyjąć za 9 dni sprzężajnych, czyli całą pańszczyznę tygodniową sprzężajem w starostwie przyjąć za dni 68.

Wszystko, co wiemy o dawnym systemie pańszczyźnianym, — wszystko, co z tego systemu przechowało się do naszej pamięci (do połowy ubiegłego stulecia), prowadzi do wniosku, że system nasz pańszczyźniany był w treści swej systemem połowicznym, jaki dotąd zachował się w innej nieco formie we Francji, opartym przecież nie na równym podziale plonów między właścicielem ziemi i rolnikiem właściwym, lecz na odpowiednim wyposażeniu tego ostatniego ziemią, to jest że obszar gruntu, jaki otrzymał poddany, odpowiadał rozległości gruntów dworskich, jakie obrobić miał obowiązek. Przestrzeń więc gruntu, jaką posiadali „poddani”, była w ścisłym związku z obszarem pól dworskich.

Kto pamięta stosunki pańszczyźniane u nas z przed lat sześćdziesięciu przypomni sobie, że gospodarze osiadli na całej włóce czyli na „całym gospodarstwie” odrabiali trzy dni pańszczyzny ciąglej w tygodniu, drugą połowę mając pozostawioną dla siebie. Z ilości dni pańszczyźnianych wyszukując przestrzeni dóbr, a przynajmniej przestrzeni gruntów ornych, dochodzimy, że włóścianie czterech wymienionych powyżej wsi, posiadali około 33 włók gruntów, oraz że takąż samą mniej więcej przestrzeń była objęta gospodarstwem dworskiem. Para sprzężaju, jaką „poddany” posiadał (zwykle z dworu), wystarczała potrzebom dwóch włók gruntów ornych, a jak zobaczymy zaraz, system gospodarstwa ówczesnego najzupełniej tę normę usprawiedliwiał.

(CDN)

H. Wiercieński.



Z wycieczek szkolnych gimnazjum ósmego we Lwowie.²⁾

Z kolei, uzyskawszy dzięki uprzejmości starosty, p. Makowieckiego, przepustki na przejazd do Rosyi, wyruszamy do Kamieńca. Pogoda, która ciągle była niepewna, a w ostatnich dniach dobrze już dała się we znaki, teraz zepsuła się zupełnie: jedziemy wśród ciągłego deszczu, który od czasu do czasu przechodzi w ulewę. Przejeżdżamy przez Krzywczę, ale spóźnienie wywołane słotą nie po-

zwala nam zwiedzać zamczyska ani grot, wreszcie dobrze z południa stajemy w Mielnicy na pas. Ogrzawszy się i trochę osuszywszy przy piecu i kuchni, po skromnym posiłku wracamy znów na nasze furki i dalej mkniemy. Mijamy wał Trajana, odkładamy do powrotnej drogi zwiedzenie historycznych Okopów świętej Trójcy, najcieplejszego zakątka Galicyi, obecnie białego od kwiecia morel,



DNIESTR W ZALESZCZYKACH

fol. L. J. Bykowski.

musimy się bowiem spieszyć, by wczas przejść granicę. Zostawiamy nasze podwozy w karczmie w Okopach, a przeszedszy most na Zbruczu i odbywszy rewizję celną i paszportową, pieszo dążymy do Żwańca. Wreszcie ustał deszcz, nawet niebo nieco się wypogodziło, oglądamy z daleka Chocim po „tureckiej” stronie Dniestru, wreszcie stajemy w Żwańcu i odnajdujemy polecony w Okopach „bardzo porządny hotel” p. Ajzyka, gdzie za 20 kop. od sztuki dostajemy nocleg, po dwu na jednym łóżku. Każemy postawić olbrzymi samowar i zgodziwszy „bałagulów” do Kamieńca, zrzucaamy prze-mokłe „do skóry” odzie-nie, lokując się jak mo-żna na ciasnych tap-czanach. Ciasno, trochę zimno i twardo—słoma borszczowska była wspa-niała—ale przynajmniej sucho; niestety, z rana trzeba było znów wcią-gać mokrą odzież, je-dna noc nie wystarczyła nawet na wysuszenie bie-lizny, ale piękny dzień wysuszył ją na naszych grzbietach. Lecz wycie-czka hartuje, nikt z nas nie zachorował.

W Kamieńcu Podolskim zwiedzamy zabytki historyczne, tak wymowne. Ile tam śladów rozli-cznych! W tych samych przybytkach, gdzie dziś prawosławni popi, chwalono przecie naprzemian katolickiego Boga i Allaha. Zabieramy się do przy-rody, łupimy znów sylur, zdobywając wspaniałe trylobity, próbujemy fotografować osobliwości. Nie-

stety, zjawia się stójkowy i pozna-wszy obcokrajowców zaprasza mnie jako kierownika w sposób jak najbardziej europejski „na minutku” do pana „prystawa”. Idę, przekładam dokumenta, le-gitymację T-wa krajoznawczego, uprawniającą do robienia zdjęć, rozmawiam o pogodzie, o miejsco-wych szkołach, a jako skutek osta-teczny tej rozmowy—„prośba” p. prystawa, by nie fotografować. Ha, trudno — zresztą, powiedzieli za powrotem graniczni celnicy, do-brze, że nie przymknął choć na parę godzin. Za to widzieliśmy miejscowe gimnazjum. Trzeba przyznać, że budynek w porówna-niu z naszymi zakładami wspa-niały, zbiory też wcale ładne,

choć niezbyt w porządku, mam pewne wątpliwo-ści tylko co do wiedzy i gorliwości tamtejszych profesorów, ale może to niedokładność obserwa-cyi.

I znów czas w drogę, by przed wieczorem przejść granicę. W Żwańcu bałaguly oświadczają w po-rozumieniu z naszym hotelarzem, że „rogatka już zamknięta, trza nocować tutaj”. Nie oburzam się, lecz spokojnie zabierając się do wysiadania przypominam bałagulom umowę i oświadczam, że należną im sumę przeznaczam na nocleg. Wo-bec tego, zobaczywszy, że podniesiony harmider wcale mię nie wzrusza, postanawiają spróbo-wać, „może jeszcze ot-warto” i przywożą na godzinę przed zamknię-ciem granicy. Załatwiw-szy formalności pasz-portowe, podczas gdy w przyległej celce odby-wała się rewizya osobi-sta jakiegoś obywatela, opuszczamy gościnne imperyum i dążymy do-Okopów. W czasie za-kładania koni, zwiedza-my wały i odnowione bramy, historyczny ko-



WODOSPAD NA POTOKU BORSZCZOWSKIM

fol. L. J. Bykowski.

ściełek, zbudowany przez rycerzy hetmana Jabłonow-skiego, oglądamy miejsce, które-dy Pułaski wym-knął się wrogom. Potężny Dniestr graniczny dźwiga tratwy, a na przeciwnym brzegu i charakterystyczne młyny, i powoli toczy się na granicy dwu kultur, jak ongi. Odfotografowawszy wał Trajana i wytchnąwszy znów w Mielnicy, o 3 z rana jesteśmy



w Borszczowie, by po krótkiej drzemce, o godz. 6-ej wpakować się do pociągu, który nas powoli, ale w kulturalny sposób wiezie do Buczaczu.

W Czortkowie, czekając na pociąg, oglądamy „warstwy czortkowskie” i zabieramy skamieliny, a na południe stajemy w Buczaczu.

Pod przewodnictwem prof. Kowalczewskiego zwiedzamy okolicę pod względem geologicznym — samo miasto żydowskie, brudne ma słynny ratusz barokowy z XVIII w., kilka pięknych kościołów i cerkwi, nieopodal ruiny zamku, które oglądamy pobieżnie i z zewnątrz. Odwiedziwszy jeszcze naszego gospodarza w jego gabinecie w gimnazjum, wieczorem dążymy na nocny pociąg, który nas przez Stanisławów wiezi do domu. Noc i zmęczenie przeważają, mimo zaduchu, iście galicyjskiego ścisku i cebulowej woni większość śpi, nie zbudziła ich nawet hałaśliwa bójka ruskich uczniów z żydami w sąsiednim przedziale, nb. wnet zakończona sojuszem. Ferye świąteczne skończone, o szóstej z rana jesteśmy we Lwowie, a o 8 rozpoczynamy naukę w szkole. Dyrekcja puściła uczniów o 9 do domu, profesor godziny swoje odbył.

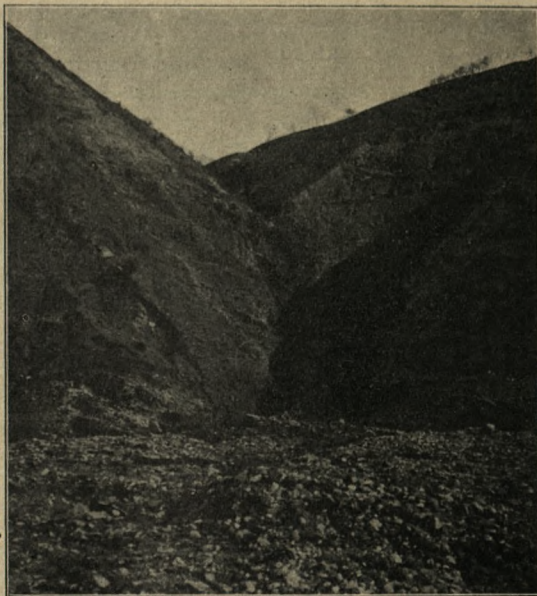
II. DO WIELKOPOLSKI.

Odmienna była wyprawa do Wielkopolski: inne cele i zakresy, inne towarzystwo, inne wrażenia i wyniki. Na Podole jechali przyrodnicy po przyrodnicze zdobycze; zabytki historyczne zwiedzano tylko przygodnie, o ile czas starczył i była sposobność. Tu inaczej: była to wycieczka krajoznawcza w ogólniejszym znaczeniu tego słowa; jechaliśmy, by poznać nie tylko ziemię i przyrodę, lecz i przeszłość historyczną i ludzi, ich dolę i niedolę. Więc i towarzystwo odmienne. Do przyrodników przyłącza się grupka uczniów o odrębnych upodobaniach i konstrukcyi umysłowej, co zaznaczyło się nawet w przebiegu wycieczki, w stosunkach, jakie podczas niej trwały. Więc i sprawozdanie inaczej wygląda, ograniczyć się trzeba do pewnych szczegółów, inne

czytelnik musi ze znanych powodów „sam sobie dośpiewać”.

Drużyna nasza miała się składać z 19 uczestników, wśród tych trzech poważnych abiturientów. Kilku jednak — z przepracowania przed maturą — zapadło na oczy, dwu tak ciężko, że musieli zrezygnować z wycieczki. Jeden z nich przysłał w zastępstwie młodszego braciśzka, który właśnie przyszył czwarty pasek srebrny (wstępuje do czwartej klasy), ale zato innego wycieczkowicza zatrzymała mniej pomyślna klasyfikacya z języka niemieckiego. Zostało więc nas 17, towarzystwo nie jednolite, wśród którego zaznaczały się bardzo wyraźnie dwa typy. Jeden — to pracownicy powolni, oglądający długo ale nie wiele, zdolni godzinami siedzieć w odkrywcę geologicznej, a tygodnie w muzeum, trzeźwi, stąpający po ziemi. Są to t. zw. na wycieczce „przyrodnicy”. Typ drugi orientuje się może żywiej, prędzej, obejmuje

zersze zakresy, lecz powierzchowniej, jest wrażliwszy, nieco poetycki i artystyczny. Nazwano ich na wycieczce „literatami” w ujemnem nieco znaczeniu. Typy różne, często przeciwne, stąd bywały spory, czasem zasadnicze, które trzeba było,



BOCZNY JAR DNIESTRU NA STRONIE BUKOWIŃSKIEJ

fol. L. J. Bykowski.



ZEBRA BOCZNE W JARZE NICZŁAWY POD BORSZCZOWEM

fol. L. J. Bykowski.



oczywiście łagodzić. Brak ogromny odczuwałem kolegi Pochniarskiego, który nam towarzyszył na Litwę, natury literackiej, poetyckiej, ale bez ujemnych dodatków, i stąd zdolnej wyrównać niejedną sprzeczność między obydwojma obozami. Te typy, to nie przypadkowy wynik wycieczki: one charakteryzują całą młodzież naszego zakładu i dzielą ją na dwie grupy, lekceważące się wzajemnie, bo często nierozumiejące się, bo różniące się czemś więcej, niż zamiłowaniem, niż niefortunnie dobraną nazwą. Gdy „przyrodnicy” śpią na słomie, „literaci” marzą przy księżycu na pamiątkowych miejscach, gdy pierwsi idą do lasu i szukają geologicznych osobliwości, „wódz literatów” słucha opowiadań chłopów, a gdy pierwsi ledwie kończą drugą salę, drudzy obejrżeli już całe muzeum i nudzą się przy wyjściu, ale też potrafią opisać ołtarz, którego nie widzieli...

Katowice obejrzelśmy nocą przy świetle elektryczności, czekając na pociąg; rankiem wkraczamy w Poznańskie. Zupełna niemieckość kolei boleśnie razi, ledwie gdzieś w kącie ten i ów ze służby odezwie się do nas po polsku zdjęty ciekawością, by po chwili trwożliwie zamilknąć. Oczywiście, nie robimy bezowocnej demonstracji, ale nie kry-

jemy się z polskością: jeśli tylko możliwe, staramy się nawet z władzami porozumieć po polsku. Oto charakterystyczny ułamek z rozmowy na dworcu w Kluczborsku.

— Panowie co za jedni?

— Polacy, wycieczka szkolna.

— A! z Rosyi?

— Nie, jesteśmy z Polski, z zaboru austriackiego, z Galicji.

— A to przecie was uczą po niemiecku, dlaczegóż nie mówicie po niemiecku, pewnie nie potraficie!

Wtrącam się do rozmowy i dopomagam moim chłopakom: — Gdy będziemy w Berlinie, będziemy mówili po niemiecku, tu mamy prawo mówić po polsku, a ci, którzy chcą z nami rozmawiać, powinni nas rozumieć.

— Jesteście w Prusiech.

— Myli się pan, jesteśmy w Wielkiem Księstwie Poznańskiem...

W restauracji dworcowej pod wielkim kłosem stoi filiżanka złocona, z której—jak głosi umieszczony napis—pił ongi kawę sam „Kronprinz”...

(DN)

Dr. Ludwik Jaxa Bykowski.



SZOPKA UKRAIŃSKA.

W gub. kijowskiej, około historycznego miasteczka Białej-Cerkwi jest zwyczaj że w wigilię Bożego Narodzenia gromadka parobków, przebierając się w rycerskie hełmy, szyszaki i pancerze, ze złoconego i srebrzystego papieru zrobione, z drewnianymi spisami i halabardami w rękach, chodzi od domu do domu, w towarzystwie króla Heroda, białej śmierci i nieodstępного dziada z konopiastą brodą, prowadzącego kozę. Rycerstwo to składa się z królów

cudzoziemskich, sultanów i jakichś bajecznych bohaterów z rodzaju Jerusłana Łazarowicza i królewicza Bowy.



SZOPKA W BŁOSZCZYŃCACH

fol. St. Wermiński.

Szopka zaczyna się rodzajem deklamacji politycznej, wygłoszonej prędko i z głośnymi okrzykami, przy czem rycerz czy też jeden z królów,—gdy reszta grających stoi w półkolu, dziad zaś z kozą i śmiercią chowa się na tyły, — wychodzi na scenę, stukając groźnie halabardą i tupiąc nogą, opowiadając kim jest: królem angielskim lub mikadem



japońskim. Pamiętam w r. 1905 w czasie wojny japońskiej, królowie robili zarzuty mikadzie, że wylewał krew chrześcijańską; mikado jednak stawiał się butnie i w końcu po krótkim sporze pozyskał uznanie wszystkich.

Po ukończeniu deklamacyi z nowoczesną fabułą, zjawia się poseł z wiadomością o złych czynach króla Heroda, a za nim i sam Herod, siedząc na tronie; wszyscy go wnet obępują, czyniąc doraźny sąd; zrzucają Heroda z tronu, przybiega śmierć i wywleka go za drzwi. Kończy się jednak

ten dramat bardzo wesoło: wychodzi kuternoga-dziad z kozą (chłopak przebrany w wywrócony kozuch barani na czworakach), zaczynają tańczyć, dziad wyśpiewuje wesołą ludową piosenkę chrapliwym głosem; rozlegają się dowcipy i głośnie śmiechy. W końcu całe rycerstwo, nie wyłączając śmierci, dziada i kozy, chórem śpiewa pieśń ludową lub kolendę, a otrzymawszy datek wychodzą.

Powyższy zwyczaj widziałem we wsi Błoszczyńcach, gub. kijowskiej.

Mieczysław Piotrowski.



Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



W środę d. 13 b. m. w wielkiej Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się pierwsze powakacyjne zebranie miesięczne Polskiego Tow. Krajozn. pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który zdał

sprawę z czynności Zarządu i Komisji za ostatni okres czasu—od czerwca.

Zalegalizowano nowy oddział w Grójcu. Do Zarządu Oddziału tego na zebraniu organizacyjnym wybrani zostali: Czekanowski Stanisław (prezes), Ambroziewicz Stefan (wiceprezes), Kotarbiński Wiktor, Piotrowski Bronisław, Hołownia Henryk (sekretarz), Orzeszkowski Stanisław (skarbnik); do komisji rewizyjnej zaś: Wojdan Antoni i Cierpisz Józef.

Opracowany został regulamin dla osób, korzystających z biblioteki Towarzystwa. Biblioteka będzie otwarta od dnia 1 października r. b. dla członków Towarzystwa codziennie od 4 do 6 pp. Pan K. Rakowiecki zdał sprawę z przebiegu obrad zjazdu Konserwatorów Galicyjskich, który się odbył w lipcu r. b. w Krakowie, i w których brał udział w charakterze delegata Towarzystwa Krajoznawczego.

Z powyższych uchwał, a raczej opinii, zakomunikował jako najważniejsze:

1. Potrzebę zaprowadzenia wykładów historii sztuki w seminariach duchownych, aby przyszli gospodarze kościołów naszych ze znajomością rzeczy i bez szkody dla poleconych ich pieczy świątyń mogli należycie się tymi zabytkami architektury kościelnej zająć.

2. Konieczność wpajania w młodzież szkolną poczucia poszanowania dla zabytków sztuki narodo-

wej—co się daje dobrze uskutecznić przy odpowiednim staraniu ze strony nauczycieli historii, geografii i historii literatury ojczystej.

3. Palącą potrzebę zinwentaryzowania zabytków historycznych, zachowanych do dnia dzisiejszego na terenie Galicji i Królestwa.

Piękny odczyt „O zabytkach polskich w Padwie” wygłosił wiceprezes Al. Janowski, oparty w znacznej mierze na świeżych spostrzeżeniach osobistych.

Zebranie zakończone zostało o godzinie 10 wieczorem komunikatem p. Janowskiego o projektowanych na najbliższe tygodnie wycieczkach Towarzystwa oraz pokazem przezroczy z wycieczek odbytych w Maju i Czerwcu r. b.

Przebieg pogody w m. sierpniu 1911 roku.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego P. T. K.

Nadzwyczajne upały i susza, którymi zaznaczył się koniec lipca, trwały dalej w Królestwie do połowy sierpnia wobec stałych wiatrów północno-wschodnich. Niemal codziennie temperatury przekraczały w cieniu 25°C, a koło dnia 13 dosięgały 32°C i więcej (maximum). Po 15 sierpniu wiatr zmienił się na silny powiew północno-zachodni i nastąpiło znaczne oziębienie. Stan taki, któremu towarzyszyła pewna dżdżystość atmosfery, trwał dni kilka, przyczem koło 20 temperatury w nocy spadały do 5°C (minimum). W następnych dniach temperatury podniosły się i koło 29 sierpnia znów miały charakter upalny, lecz z końcem miesiąca nastąpiło nowe oziębienie.

Temperatury średnie miesięczne wahały się koło 18°,3C i były przeszło o 1° wyższe od średnich wieloletnich. Długość usłonecznienia również była bardzo znaczna, np. w Warszawie wyniosła 254 godzin czyli 27 g. więcej, niż średnio w latach ostatnich. Opady były rzadkie i skąpe, zwłaszcza w pierwszej połowie miesiąca, w przeważnej części kraju z wyjątkiem Lubelskiego



i przyległych do Wisły powiatów: radomskiego i kieleckiego, gdzie padały częstsze i obfitsze deszcze. Średnia wysokość 44 mm w 10 — 11 dniach. Wnosiła zaledwie $\frac{2}{3}$ średniej wysokości dla sierpnia. Uderzający jest fakt, że na pobliskim od Królestwa Wołyniu panował właśnie w pierwszej połowie miesiąca bardzo wilgotny i dość chłodny stan pogody.

Dane z poszczególnych stacji P. T. K.

a) Temperatura:

Nowa Słupia. Temperatura śr. 18°,5; temp. max. 27°8 dnia 29; temp. min. 10°,2 dnia 21.

b) Opady: Wysokość w mm Liczba dni

Bieliny (p. kielecki)	55	16
Św. Krzyż („ „)	54	16
Nowa Słupia („ „)	81	17
Suchedniów („ „)	37	14
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	37	15
Wysokie (p. krasnostawski).	85	17

c) Długość usłonecznienia: Jędrzejów 229 godzin słonecznych.

□□□□□□□□

Ze Stowarzyszeń.

D. 12 b. m. odbyło się w sali Komitetowej Tow. Kredytowego m. Warszawy nadzwyczajne posiedzenie Tow. Opieki nad Zabytkami przeszłości w Warszawie, poświęcone sprawie nabycia domu na siedzibę własną. Upoważniony parokrotnie wyrażoną w tym kierunku wolą zebrań ogólnych Zarząd Towarzystwa wybrał w tym celu kamienicę Nr. 32 (hyp. 54) przy Rynku Starego Miasta, t. zw. Kamienicę Baryczków, i nawiązał pertraktacje z obecnymi właścicielami. Zebranie ogólne kroki, poczynione przez Zarząd jednomyślnie zatwierdziło, wybierając złożoną z przewod. Edwarda hr. Krasińskiego, mec. A. Kraushara i mec. Włodz. Powichrowskiego komisję, której ostateczne wykonanie zakupu i ubranie go w formy prawne powierzone zostało. Cena kupna wynosi 53,000 rb., z czego 18,000 rb., jak się okazało, Towarzystwo posiada w postaci kapitału, zebranego na nabycie własnej nieruchomości, reszta zaś pozostanie na hypotecę. Dzięki staraniom bar. Leop. Kronenberga uzyskano też pożyczkę 6,000 rb. na pierwszy remont domu, dalsze zaś odnawianie zniszczonej mocno budowli prowadzone będzie w miarę napływu dalszych ofiar i środków. Co się tyczy samej kamienicy, jej wyglądu i stanu obecnego, odsyłamy ciekawych do opisu, umieszczonego w „Ziemi“ w Nr. 1 z r. b.

i częściowo (widok klatki schodowej) w Nr. 1 z r. z. nadmienając jedynie, że jest to istotnie jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa mieszczańskiego w Warszawie, i że pomimo dotkliwego zniszczenia ogólnego ocalało w niej wiele szczegółów zdobniczych pierwszorzędnej wartości, które przy starannej i umiejętnej opiece będzie można odnowić i na jaw wydobyć.

□□□□□□□□

Nowe książki.

Obrazowatelnija ekskursii po Rosii. Sbornik otchot za 1910 god. Moskwa 1911 r.

Paręset stron liczący tom składa się z części sprawozdawczej i literackiej. Z pierwszej dowiadujemy się, że w jesieni 1909 r. przy Moskiewskim oddziale rosyjskiego towarzystwa turystycznego powstała komisja wycieczek kształcących, mająca na celu umożliwienie poznania kraju osobom niezamożnym. Komisja wcześniej ogłasza marszruty i warunki, a deklaracje chcących brać udział w wycieczce przysyłane być muszą przed kwietniem. Każda z wycieczek ma swój określony cel (co jest rzeczą bardzo korzystną dla uczestników); np. chcący zapoznać się z życiem społecznym i kulturą wyższą, niż rosyjską, jadą do Finlandyi, żądni wrażeń estetycznych i odpoczynku—nad Wołgę, zwolennicy przyrodoznawstwa na Kaukaz i Krym i t. p. Każdy, kto chce wziąć udział w wycieczce, obowiązany jest napisać, w jakim celu zamierza jechać (wrażenia, odpoczynek, nauka). Wycieczka trwa zwykle około 30 dni i kosztuje przeciętnie 70 rb. Po skończonych wycieczkach uczestnikom rozesłano kwestyionaryusz, zawierający 56 pytań. Z odpowiedzi okazało się między innymi, że 77 osób miało na celu jedynie naukę z pominięciem odpoczynku, 16— jedno i drugie, a 7— wyłącznie przyjemność. W wycieczkach wzięło udział 66 osób z pośród nauczycielstwa ludowego (w tem olbrzymi procent kobiet); charakterystyczne jest, że niektórzy z pośród nauczycieli wiejskich sprzedawali np. krowy, ażeby móc wziąć udział w wycieczce. Ciekawy też jest punkt regulaminu pytający, czy uczestnik zadowolony jest z przewodnika; 69% odpowiedzi przychylnych, pozostałe nie, a powodem częstolroć jest zbyt mała ilość informacji, jakich udzielano, zdaniem malkontentów.

W części drugiej zamieszczono ilustrowane opisy zwiedzanych miejscowości, wspomnienia i wrażenia uczestników i przewodników.

St. L.

TREŚĆ: St. J. Czarnowski.—Zabytki przedhistoryczne w okolicach Ojcowa i Miechowa (z 2 ryc.); G. Smólski.—Z podróży na Pomorze; Dwory, zamki i pałace—34. Adolf Dygasiński. Zamek w Pieskowej Skale (z 2 ryc.); H. Wierciński.—Z przeszłości Nałęczowa; Dr. Ludwik Jaxa Bykowski. — Z wycieczek szkolnych gimnazjum ósmego we Lwowie (z 5 ryc.); Mieczysław Piotrowski.—Szopka ukraińska (z 1 ryc.).—Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.—Ze stowarzyszeń.—Nowe książki. Poza tekstem: Typy ludowe. Dziewczyna z Lubelskiego i Państwukowie z pod Pren.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łożwickie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski.—Kłisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwief